

Rozdział I

Pod Beresteczkiem

Radiostacja korespondencyjna Komendy Pow. P.P. w Mielcu, w której pracowałem z Józkiem Wojdą, zamilkła 6. września 1939 r. Z samego rana przyszedł rozkaz ewakuacji. Powoli, troskliwie, pedantycznie demontowaliśmy urządzenia, z którymi zdołałem się już żyć, i pakowaliśmy je ostrożnie do podstawionego wozu.

Gdy kończyliśmy robotę, zapadł piękny, jesienny zmierzch. Słońce przesuwało się powoli za nieco już poszarzałą zieleń drzew – było tak spokojnie w tym miasteczku, iż trudno było uwierzyć, że właśnie przesuwa się nad krajem straszna nawałnica.

Nastroje nasze nie były najlepsze. No cóż, ewakuacja... Czy to pierwszy raz w historii naszego kraju nieprzyjaciel wdierał się głęboko, aż do samego serca, lecz potem przecież zmuszany był do haniebnej rejterady? Mieliśmy ogromne zaufanie do sił naszego państwa i narodu. Nauczono nas nie tylko kochać Polskę, ale i wierzyć w jej niespożyte siły i moc stawiania czoła rozmaitym trudnościom. Taką edukację otrzymałem w gimnazjum i może jeszcze bardziej w harcerstwie, którego aktywnym członkiem byłem od r. 1923.

Składaliśmy więc części radiostacji z wielką uwagą, mając nadzieję, że za parę dni, na nowym miejscu postoju będziemy z niej znów korzystać. Na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy, gdy uformowało się coś, co przypominało kolumnę – wozy ruszyły, zaczęliśmy się posuwać ku wschodowi.

Dni następne odsłaniały – jak w książce rozdział po rozdziale – prawdę o sytuacji, w której znalazł się naród. Na nasze głowy sypały się bomby, i coraz częściej można było zauważyć objawy rozprzężenia, anarchii, paniki. Pewnego dnia sam doznałem skutków panującego wszędzie chaosu: po kolejnym wściekłym ataku bombowym zaginęła gdzieś nasza radiostacja, za którą przecież byłem odpowiedzialny. Ta przykrość – jeśli tak można się wyrazić – służbowa została pomnożona jeszcze przez przykrość osobistą. W wozie, który transportował radiostację, umieściłem także cały swój skromny dobytek z dokumentami włącznie.

Każdy Polak w tym wrześniu przeżył jakiś okres nadziei i optymizmu, zanim przyszedł moment, w którym runęło wszystko. W moim otoczeniu ten optymizm trwał stosunkowo długo. Wciąż łudziliśmy się, że niemieckie sukcesy są tylko przejściowe, że zaraz, zaraz marszałek Śmigły-Rydz dokona zwrotu sytuacji jakimś atakiem, że maluczko, a sojusznicy zachodni rozpoczną akcję odciążającą. Tym bardziej dramatyczne było spotkanie z prawdą. Minęło kilka dni nieciekawych, ale stale się cofaliśmy – Kolbuszowa, Sokołów Małopolski, Biłgoraj, Zamość, Hrubieszów, Włodzimierz Wołyński, Łuck i dalej na południowy wschód. Pewnego dnia, już daleko na wschodzie, stanęliśmy ni to we wsi, ni w osadzie o historycznej nazwie Beresteczko. (Tak, tak, to samo Beresteczko, gdzie się rozegrała wielka bitwa opisana w „Ogniem i mieczem”.) Po południu z grupką kolegów poszliśmy obejrzeć pole bitwy. Inaczej je sobie wyobrażałem. Jakieś bezdroża, bagna, monotonna równina. Aż trudno sobie wyobrazić, że w takim krajobrazie mogły dzieć się wydarzenia na skalę historii. Jakiś pop, nacjonalista ukraiński, wielki entuzjasta Bohdana Chmielnickiego, wystawił na pamiątkę zdarzeń piękną cerkiew, która dziwnie kontrastowała z tym pustkowiem i biedą, dającą znać o sobie na każdym kroku. W cerkwi, w ogromnej jakby szafie-kominie o szklanych ścianach, zmagazynowano masę czaszek i kości ludzkich – rzekomo kozackich – stąd nazwa „kozackie mogiły”.

Obejrzeliśmy cerkiew, dumając, jak to każda rzecz inaczej wygląda z różnych punktów widzenia; jak różny stosunek do wypadków, które tutaj się rozegrały, mamy my, Polacy – wychowani na sienkiewiczowskiej wizji „Ogniem i mieczem” – i oni, nacjonaści ukraińscy.

Nie mieliśmy jednak wiele czasu na roztrząsanie filozoficzno-historyczne. Zmęczeni marszem poukładaliśmy się, gdzie kto mógł, a zasypiając marzyliśmy o wielkiej kontrofensywie, która z zachodu i wschodu uchwyci hitlerowskie Niemcy w żelazne kleszcz i zmiażdży je. Następnego ranka był jednak rażąco odmienny od naszych snów i marzeń. Dopiero teraz do dowództwa naszej, pozbawionej dotąd łączności, grupy, doszły hiobowe wieści o sytuacji. Ustawiono nas w dwuszerę...

Nie, nie jestem w stanie odtworzyć tego, co wówczas nastąpiło. Pamiętam tylko, że dowódca mówił coś o tym, że wojna się skończyła, że ponieśliśmy klęskę, że rozwiązuje formację, że każdy teraz ma sam decydować i działać na własną rękę... Dochodziły do mnie urywane strzępki słów, wydaje mi się, iż – przynajmniej psychicznie – musiałem skulić się w sobie, tak jak to czynią ludzie, którzy dostali postrzał w brzuch.

Jakaś siła wywołała z głębin pamięci obrazy najwcześniejszego dzieciństwa, zamigotały błyskawicznie obrazy minionych lat. Mówią, że podobnie dzieje się z człowiekiem w chwili śmierci. Pod powiekami przesuwały się oderwane obrazy. Jakaś ulica w Zduńskiej Woli z r.1913; jako paroletni chłopak siedłem trzymając się ręki ojca, pytałem: „Tatusiu, dlaczego rozwieszono girlandy, poozdabiano domy, czemu tyle muzyki i światła?” Jakiś błysk zamigotał w oczach ojca; „To złodziejskie święto – odpowiedział – cieszą się, że carska rodzina trzysta lat siedzi na tronie, ale niedługo im tej pociechy, diabli ich wszystkich wezmą, jak na to zasłużyli”.

A potem przypomniał mi się pan Antoni Przygodzki, kulawy trochę czeladnik w warsztacie mojego ojca, który zwiedził prawie całą Ukrainę, a w czasie I okupacji niemieckiej, po wyrzuceniu Rosjan, czytał mi „Trylogię” zapewniając, że przyjdzie taki dzień, kiedy Polska znów będzie wielka i silna, a z najeźdźców śladu nie zostanie.

Słowa naszego dowódcy, że Polska wojnę przegrała, dudniły gdzieś daleko, o ileż bliżej była postać mojego pierwszego nauczyciela, pana Nowakowskiego z wiejskiej szkoły w Kopyści, peowiaka, konspiracyjnego, o czym my mali doskonale wiedzieliśmy, przeciwko Niemcom. I ten pan Nowakowski zapewniał nas, że będzie Polska, że już niedługo... Rzeczywiście, wkrótce potem, jak pan Nowakowski znikł gdzieś w sposób tajemniczy, szosą wiodącą z Łodzi w kierunku Kalisza przeciągały długie kolumny wojska niemieckiego, udające się „nach Vaterland”.

Powstała ta wymarzona, wyczekiwana Polska, z którą związane najlepsze uczucia, której postanowiono oddać wszystkie siły i działania. Stała się szczęśliwym domem mojej młodości... A teraz. Coś trzasnęło w nas, jakby gwałtownie zamknięto wieko trumny. Im dłuższy był optymizm tych dni wrześnieowych, tym gwałtowniejsze było teraz załamanie. Dwuszerę się rozproszył. Iść – ale gdzie? Żyć – ale po co?

Rozpoczęła się tułaczka w przeciwnym niż dotąd kierunku. Ku stronom rodzinnym, ku bliskim, z którymi mieliśmy się naradzić nad zagadnieniem: co dalej? Wędrowaliśmy w stronę Mielca. Pod Bełżcem zatrzymano nas, Niemcy urządzali połowy jeńców wojennych. Sytuacja moja była tym gorsza, że nie miałem żadnych, prócz starej legitymacji harcerek, dokumentów osobistych. Ten brak był najlepszą rekomendacją do utraty wolności.

Ogarnięto nas i znaleźliśmy się zamknięci w kościele. W półmroku zbezczeszczonej świątyni zabłysły oficerskie szlify, jakiś major siedział na ławeczce obok konfesjonu, jakby czekając na spowiedź.

Złamany i otępiały czułem potrzebę rozmowy.

Zbliżyłem się, stuknąłem obcasami, spytałem, czy można z panem majorem porozmawiać. Ocknął się z głębokiej zadumy, uczynił gest przyzwalający, posunął się trochę, zapraszając, żebym usiadł koło niego.

- I tak, panie majorze – powiedziałem sadowiąc się trochę nieśmiało na wskazanym mi miejscu – skończyło się wszystko...- Teraz przychodziła reakcja na mój pierwotny optymizm.

Tamten spojrzał na mnie uważnie. Otrząsnął z siebie resztki apatycznej nieco zadumy i trochę ostrzejszym, przywykłym do wydawania komend głosem, powiedział:

- Co się skończyło? Co macie na myśli?

Zacząłem trochę chaotycznie mówić: że klęska, że Niemcy, że sojusznicy porzucili, że Polska, że takie nieszczęście, że teraz nie wiadomo po co żyć...

Major znów spojrzał na mnie. Nie zapomnę nigdy tego wzroku i w tej chwili mrocznym kościele, kiedy z jakimś dziwnym akcentem powiedział do mnie;

- Takie są koleje wojny: "raz na wozie, raz pod wozem". Polska się nie skończyła. Polska nie skończy się nigdy, dopóki żyją Polacy. Słuchajcie, to tylko początek, to tylko pierwsza przegrana bitwa. Będzie wojna światowa. Oni jej nie wygrają. – A potem pochylił się i rzekł półgłosem: - Słuchajcie, jesteście młodzi i zdrowi. Nie wolno wam tu zostawać. Ja to co innego, ja już nie będę mógł uciekać. Ale wy musicie. Dużo roboty, pamiętajcie, wy młodzi...

Zamilkł, od strony kruchty rozległa się niemiecka komenda; kolumnę naszą zaczęto formować. Kręciłem się tak, aby się znaleźć na samym końcu. Udało się potem, w jakimś zagajniku, odwrócić uwagę eskortującego Niemca. Kryjąc się za krzakami oddalałem się coraz bardziej od długiej kolumny jenieckiej, aż po jakimś czasie okrzyki i wrzawa ucichły i znalazłem się sam wśród zielonego igliwia i coraz coraz większej ciszy, która mnie ogarniała.

Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili poczułem się tak, jakbym to ja osobiście zaczynał swoją wojnę z Niemcami.